Cena pojedyńczego Nr. 50 gr.

Rok VII. Radom, październik 1930 r. Nr. 1.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA" GIMN. PAŃSTW. M. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

OD REDAKCJI.

Koleżanki i Koledzy! Ponieważ w r. szk. 1929-30 ostatni numer pisma naszego wyszedł z podziałem na grupy, obecny zaś Nr. na zasadzie § II Statutu również został tak ułożony, mógłby ktoś pomyśleć, iż grupy te pozostają w pewnym związku z grupami roku ubiegłego.

Uważamy za obowiązek redakcji zaznaczyć, że tak nie jest. Grupy te powstały w tym roku szkolnym i z grupami z Nr. 3 roku przeszłego nic wspólnego nie mają.

Pierwsza interesuje się wyłącznie życiem szkolnem, druga prócz tego postanowiła zająć się sprawami społecznemi.

REDAKCJA.

PRZED GROBEM KOCHANOWSKIEGO.

Przed grobem Twym, Pieśniarzu boży, stoję...
Ty, coś ociosał mowę
Niezgrabną, jak sękaty pień,
Coś dał jej moc wyśpiewać serce Twoje,
Ty leżysz tu. Chociażeś dawno odszedł,
A jednak jesteś.. Nie minął czar promiennych, twórczych sił,
Wciąż pieśni Twoje młode, jędrne, nowe...
Choć ciało Twe rozpadło się w pył.
Przed grobem Twym, Pieśniarzu boży, stoję..

Janroz.

UŚMIECH JANA KOCHANOWSKIEGO.

Przed Kochanowskim poezja nasza kryła się w ponurych wnętrzach gotyckich kościołów, dusiła się w ciasnych murach, pozbawiona światła i powietrza. On dopiero wyprowadził ją na świat, tam gdzie słowiki „wdzięcznie narzekały", przystroił jej oblicze niefrasobliwym uśmiechem. Potrzebę śmiechu odczuwał już Rej, ale żarty jego były grube, rubaszne.

Pogodny, uśmiechnięty wyraz dał naszej poezji dopiero Kochanowski. Według niego, śmiech jest czemś bardzo ważnem, nawet oznaką człowieczeństwa:

Sam ze wszystkiego stworzenia
człek ma uśmiech z przyrodzenia,
Inszy wszelaki zwierz niemy
nie śmieje się, jako wiemy.

Śmiech jest skutecznem lekarstwem:

Gdzie dobra myśl płuży,
tam i zdrowie lepiej służy;
A choć drugi zajdzie w lata
i tak on wyjdzie na swata,

I w ciągu kilku wieków niejednego uleczyły „Fraszki", niejednemu spędziły smutek z czoła i kazały zapomnieć o troskach. I do dziś dnia nic nie straciły one ze swej wartości.

Kochanowski nauczył śmiać się nietylko człowieka: do niego „świat wszystek się śmieje", a ptaki „odzywają się wesoło". Niebo także przestaje być ponurem i groźnem, bo rozja-

snił je promyk uśmiechu. Bóg gniewu staje się Bogiem miłosierdzia, z ręki którego „wszelkie zwierzę patrza swej żywności".

To wszystko sprawił uśmiech Jana Kochanowskiego.

Więc i my przestańmy się smucić, bo:

W trosce człowiek grzybieje
pierwej, niż się sam spodzieje.

Czesław Rojek, kl. VII.

Akademja ku czci J. Kochanowskiego.

W roku bieżącym cała Polska uroczyście obchodziła czterechsetlecie urodzin tego, który rozwinął i wzbogacił nasz język ojczysty, mistrza słowa, Jana Kochanowskiego. Szkoła nasza pod wezwaniem tegoż Jana Kochanowskiego postanowiła uczcić wielkiego poetę i obywatela uroczystą akademją. Akademja ta odbyła się dn. 11 maja r. b. w teatrze „Rozmaitości", w obecności przedstawiciela Kuratorjum krakowskiego p. wizytatora Wrzoska, licznie zebranych rodziców i młodzieży szkolnej.

Uroczystość zaczęła się hymnem narodowym, odegranym przez orkiestrę szkolną. Następnie p. dyr. St. Egiejman w krótkich słowach zebrał znamienne cechy Jana Kochanowskiego, jako prawego człowieka, dobrego syna Ojczyzny i Kościoła, wzorowego ojca, wielkiego poety i znakomitego humanisty.

Zkolei kol. Borowski Witold (kl. 7) wygłosił referat p. t. „Jan z Czarnolasu", w którym wykazał zasługi, jakie poeta położył w rozwoju języka i literatury polskiej.

Potem nastąpiła część muzykalno-wokalna. Nasza orkiestra szkolna odegrała pod batutą p. prof. St. Piątka kilka utworów („Mignonette" Baumana, „Wiązankę melodyj polskich" i „Z kraju baśni").

Kol. Zgrzebnicki Czesław (kl. 2) wygłosił z przejęciem „Czego chcesz od nas, Panie", hymn, w którym znajduje wyraz religijność i zadowolenie z życia poety. Chór Państwowego Seminarjum Żeńskiego „Pieśń" odśpiewał pod batutą p. prof. B. Egiejmana „Psalm 130" i pieśń „Gaude Mater Polonia". Potem kol. Majewski Leon (kl. 8) zadeklamował „Tren X", najżywszy wyraz bólu ojcowskiego po stracie ukochanej dzieciny i dwa utwory: „Omen" i „Muzę", w których poeta kreśli program, według którego szedł przez życie.

Po deklamacjach nasz chór gimnazjalny odśpiewał „Pieśń do Boga“ i Wszechmocny Panie“. Na zakończenie zespół uczniów gimnazjum im. Jana Kochanowskiego i uczennic gimnazjum im. Marji Konopnickiej odegrał „Odprawę posłów greckich“.

Akademja wykonana siłami szkolnemi wywarła miłe wrażenie na licznie zebranej publiczności.

Była ona pomyślana w celu złożenia hołdu wielkiemu poecie, aby młodzież postępując w myśl haseł, rzucanych przez poetę, wytężała wszystkie siły w pracy nad swem wyrobieniem duchowem i wcielała w życie trzy wielkie ideały, które prowadziły Jana przez życie, ideał dobra, prawdy i piękna.

Tak szkoła nasza uczciła czterechsetną rocznicę urodzin swego wielkiego patrona wyrażając jednocześnie radosną gotowość do postępowania w jego ślady.

A)

Oddając prace nasze w ręce Czytelników, pragniemy krótko zaznaczyć, że w dziale naszym umieszczać będziemy prace naukowe, beletrystyczne i z dziedziny szkolnej, możliwie nie poruszając zagadnień społecznych dla wyodrębnienia grupy II, która zagadnienia te ujmuje w oświetleniu niezgodnem z naszemi poglądami.

Utrzymując w dziale naszym charakter pisemka czysto szkolnego, pragniemy Czytelnika pracami naszemi pouczyć, zająć i rozweselić

WSPOMNIENIA ZE SWAWOLNEJ WĘDRÓWKI.

„Forsan et haec olim meminisse iuvabit".

W końcu czerwca, po zakończeniu roku szkolnego udaliśmy się w czwórkę w pieszą wędrówkę do Częstochowy.

Wyszliśmy z naszego Radomia w nocy o godz. 2 min. 30. Szczęście nam sprzyjało, pogoda była arcypiękna, szosa względnie dobra. Bardzo pięknie, idzie się lekko i szybko.

Na południe zaszliśmy do miasteczka, ochrzczonego szewckiem imieniem Szydłowiec. Trzeba było skombinować jakiś obiad, ale bez gotówki. Zamyśliliśmy się głębcko. Myślimy, myślimy, nagle Franek krzyknął- ,,Ach, już go mam“.

— Co masz?

— Obiad.

— No?

Mieszka tu mój znajomy, z którym niegdyś dość blisko żyliśmy, jak pies z kotem. Ale teraz może coś się skombinuje.

Dzwonimy do jego wrót. Obywatel nie pokwapił się zbytnio z otworzeniem drzwi, więc my, czekając, rozłożyliśmy się obozem na trawie, rosnącej pod wrotami jego domostwa i zaczęliśmy dokładnie roztrząsać wszelkie sposoby naciągania ludzi na wydanie bankietu. Najlepszym z nich wydało się przypomnienie mu, co my za jedni, unde et quo, z jakiej przyczyny i w jakim celu, a potem grzeczna prośba o pozwolenie obmycia kurzu podróżnego w jego wodzie. Rzecz naturalna, że w takiej sytuacji każdy porządny człowiek domyśli się, o co chodzi, nakarmi łaknących i napoi pijących.

Ale sądzone nam było długo czekać i czekając nudzić się.

Wreszcie z oburzeniem w sercu i na licach ruszamy od niegościnnych drzwi, które wtedy dopiero otwierają się.

Cha! cha! Więc jeśli chcesz dostać się do wnętrza jakiegoś domostwa, zastukaj i udaj, że odchodzisz, a wnet będzie ci otworzone.

Jak tedy powiedziałem drzwi się otworzyły, a na progu stanęła postać (wszelkie ujemne przymiotniki w samych superlatywach mogą ją określać) i rzekła:

— Kochana młodzieży, u mnie nie restauracja.

To nas ubrał też człowiek, żeby podsłuchiwać ludzi, jak własną ciocię, która ukochanego siostrzeńca zamyśla nabierać na kawały.

To jedyne nasze niepowodzenie na korzyść nam wszelako wyszło, albowiem zostawiło nam na pocieszenie rzecz słodką — jedno więcej doświadczenie. Nie radź pod wrotami, bo wyszczują cię psami.

Ludzie tak wielkich zdolności, jak my, w lot zorjentowali się, jak w przyszłości zachować się. Tymczasem zjedliśmy obiad w karczmie.

Wieczorem zaszliśmy do Skarżyska. Nie ma powodu uskarżać się na to Skarżysko, bo poczciwe jest miasto, doskonałe ma gimnazjum i świetną dyrektorową tejże uczelni. Tu znalazły nasze skołatane ciała wytchnienie, nasze umęczone członki kanapy, łóżka polowe, hamaki i materace, nasze żołądki świetną kolację, a nasze oczy przyjemność oglądania czarującej warszawianeczki

w postaci kuzyneczki tejże dyrektorowej, a nasze usta — przyjemność wymiany z jej ustami pięknych słówek.

Wszystko to było wynikiem naszych środków niezawodnych, odtąd już zawsze rozsądnie przemyśliwanych.

Od tego wieczora humor nam zawsze w sercu siedział, uwalniając się co chwila z wielkim rumorem przez usta.

A oto inny dzień z naszej wędrówki, w którym czytelnik spostrzeże nas w drodze, na jagodach w wielkim lesie. Leżymy rozciągnięci na ziemi, wśród olbrzymich jagodzisk, u których stóp rosną niskie a smaczne poziomki, pochłonięci barwieniem zębów i ust na czarno. Twarze nasze opalone prawie że na bronzowo, ubrania też „opalone". Stare my teraz wygi, wytrawni badacze psychologji obszarników i innych egzemplarzy rodu człowieczego. Nie znamy co to niepowodzenie, co to złe przyjęcie. Nasza w tem zasługa, we współżyciu naszem tkwi ona. Chowając w sercu myśli plugawe, skierowane ku jak najlepszemu wykorzystaniu wyżej wspomnianych obszarników zwracamy ku nim niewinnie uśmiechnięte twarze i słodko do nich przemawiamy.

Ładnie w tym lesie, tak bardzo ładnie w tym lesie. Olbrzymie sosny sterczą do góry, rzucając na ziemię szerokie cienie. Cisza, jak makiem zasiał, tylko chrzęst mordowanych jagód słychać.

Po solennem objedzeniu się zapadamy w poobiednią drzemkę. Używam słownika człowieka normalnego t. zn. człowieka, pędzącego normalny tryb życia. W rzeczywistości to język nas, wędrowców, różni się szalenie od tego normalnego. Pewne wyrazy straciły u nas właściwe swe znaczenie, inne natomiast błahe, zazwyczaj rzadko używane, stały się wielceznaczne, poważne, a inne jeszcze zostały zmuszone do pełnienia jednocześnie funkcji mnóstwa tych, które gdzieś w naszym języku literackim zniknęły bez śladu. I tak obiadem nazywamy miskę „sztywnego" mleka i kawałek „koksu", plus niekiedy jagody, spożywane na łonie natury. Dziwne stworzyliśmy też definicje; mycie naprzykład nazywamy konwenansem, wymyślonym przez zgrzybiałą kulturę, do którego nikt nas nie jest w stanie zmusić. Kto nie widział, jak się codzień kąpiemy, gotówby się uśmiać do rozpuku, słysząc to zdanie. Szczególnie ważne wyrazy nasze to: reflektowanie, reflektor, refleksja, reflektować... Gdy który z nas kichnie, to wnet trzej pozostali odpowiadają mu: „Szczęśliwej refleksji". Misterja owe staną się łatwiejsze do odgadnięcia, jeżeli czytelnik

przypomni sobie pierwsze rozdziały z książki Remarque'a p. t.: „Na zachodzie bez zmian", do której, wzdragając się przed jaśniejszem wypowiedzeniem się, odsyłam czytelnika.

Powróćmy jednak do naszych ciał, spoczywających w spokoju.

Błogi spokój, a... a...

Bży, bży, bży.. komar siada na twarzy i zapuszcza żądełko. Brzdęc, i komar, rozstawiwszy nogi, pada trupem. Sam sobie winien, my nie przejmujemy się niczem. Jeden komar mniej, lub więcej, dziury w niebie nie będzie, owszem, nawet pożytek ludzkości to przyniesie. Grunt — to właśnie nie denerwować się.

Wolność, swoboda! Szczęśliwe chwile wypoczynku.

— Ki djabli! Coś kapnęło na czoło. Ach! to deszcz Niech sobie pada; popada, to i przestanie. Niema się czem przejmować.

Ale deszcz też się nie przejmuje i nie myśli na małem poprzestać.

Trzeba iść do stacji. Drogowskaz wskazuje, że jeszcze 5 km.

— Co? tylko tyle. Co to dla nas znaczy? Chmury szybko suną, i strząsają na ziemię coraz to częściej krople, a potem rzęsiste potoki deszczu. A im szybciej padają krople tem szybciej my idziemy. Aż wreszcie puszczamy się biegiem.

— Co za rozkosz! Raz, dwa, raz, dwa...

Zakurzone stopy mkną szybko, pierś naprzód, głowa do góry, włosy rozwiane. Trzy, cztery, trzy cztery...

Biegniemy gęsiego; ubrania mokre, strumyki skaczą po ciele. I po cóż tu mycie?

Naprzód! Naprzód! Naprzód!

A oto i stacja. Małogoszcz.

Po ulewie ruszamy dalej; wędrujemy aż do wieczora. O wpół do dziesiątej wypoczynek. Ja nie wiem, co inni sobie myślą, ale twierdzę, że lepsza nad wszelkie wątpliwej wartości sukcesy sztubackie całego roku szkolnego jest taka chwila zupełnej ciszy. Człowiek, błogości wszelakiej pełen, leży i patrzy, jak miesiączek złoty pyszczek pyzaty z za chmury wysuwa, jak świętojański robaczek kagankiem świat sobie rozświeca, j k ciemne liście sosny w figurki dziwne układają się — istny dywanik boży; patrzy i słucha, jak drzewa szumią gwarzącemi liśćmi, jak mrówki po szlakach swych włóczą się. Jednem słowem, cała natura wpycha człeka w nastrój sentymentalny, który jednak ma swoje walory.

Wstajemy. W drogę.

Uszliśmy już z pięćdziesiąt kroków, aż tu komar hop, i wyprawia fokusy na Franusinej głowie. Ten wnet wykalkulował, że zostawił czapkę. Łap! Cap! kilka robaczków świętojańskich złapał na prawicę i pobiegł szukać straconej.

Daremnie, daremnie, zniknęła jak guzik w morzu. Rad, nie rad, podąża Franuś w dalszą drogę, mocno żałując, że nie wziął z sobą „Flitu", od którego wszelki owad bez cierpienia wyciąga nogi.

Docieramy do jakiejś małej wioszczyny. Szkoły tu niema, więc musimy starać się o nocleg u sołtysa. Dowiadujemy się, iż takowego tu brak, a istnieje natomiast jakiś podsołtys i to dopiero in spe.

Ha, trudno! Idziemy do niego.

— Dobry wieczór, panie sołtysie!

— Witajcie! Chociażem ja nie sołtys jeszcze, ale będę, będę.

— Nie ulega żadnej wątpliwości, ze pan będzie sołtysem.

Wyłuszczamy mu naszą sprawę. Prosi o legitymację. Podaję mu swoją. Mówi, że jedna wystarczy.

Może mu ją podałem do góry nogami Ale to obojętne. Taki genjalny człowiek i tak pewnie umie przeczytać; bo i jakże? Czegóżto może nie umieć człowiek, który wieczorem i to przy zachmurzonem niebie potrafi rozpoznawać litery.

— Mogą się panowie przenocować, — mówi.

A! więc mamy nocleg, nocleg w stodole i na sianie. Po kolacji i maleńkiej pogawędce na temat: „Najróżniejsze kultury na trzeciej z rzędu planecie naszego układu planetarnego" kładziemy się ładnie, pięknie spać

Uff! Uciecha z tego Leona. W ostatniej chwili przypomina sobie i nam o naszym zaroście. Rany Józek! tydzień nie goleni. Włosy szczęśliwie „dobili" do jednego cala wzrostu. Uff! Powoli, powoli zapadamy w słodkie pęta morfeuszowskie. Cisza.

Wtem słychać zoddali świst lokomotywy. Pif! Paf! Pif! Paf! Mknie wdal ciężka maszyna, niestrudzone koła migają szybko.

— Tfu, do licha! To bydlę w trzy kwadranse zrobiło tyle drogi, co my przez cały dzień.

— Dobranoc! Dobranoc, koledzy! — mówi sennie Ignac.

Z dziką rozkoszą wydajemy przedsenne westchnienia.

W. T.

rozszarpana granatem, stratowana kopytami oddała krew swoją na ołtarz Ojczyzny, której jeszcze nie umiała kochać; niejedna chłopska chata spłonęła jako drwa całopalne. Odrodzona Polska naprawia wiekową krzywdę, wprowadzając równość wszystkich wobec prawa.

Chłop ma jednak i teraz pewne ale. Wojna zostawiła w Polsce głębsze ślady niż gdzieindziej. Ogólne zubożenie w wysokim stopniu i chłopów dotknęło i wielu z nich cierpi nędzę. Ogromne jednak zniszczenia, dokonane przez wojnę, nie pozwalają na wydatną pomoc chłopom: są inne bardzo ważne sprawy, nie cierpiące zwłoki, które potrzebują pieniędzy i pieniędzy. Pieniądze musi dać społeczeństwo, a więc i chłop. A chłop nie ma skąd. Chłop nie wie, że pauperyzacja powojenna jest zjawiskiem ogólnem, ale pamięta, że za czasów zaboru było lepiej pod względem materjalnym. I czuje się pokrzywdzony. To jest wieczna przyczyna i skutek: chłop uważa się za pokrzywdzonego i czuje do Polski pewien żal. A chłop stanowi znaczną częć narodu, a więc los Polski zależy w znacznym stopniu i od tego, czy chłop jest usposobiony patrjotycznie, czy nie.

Każdy przeto Polak patrjota powinien dbać o to, żeby los chłopa był taki, aby ten chłop nie potrzebował wzdychać do „dawnych" czasów, żeby dać mu możność kształcenia się, żeby chłop nauczył się identyfikować dobro państwa ze swojem, a wtedy łatwo będzie można wzniecić w jego sercu ogień miłości Ojczyzny.

Jaką rolę odgrywa uświadomienie chłopów.

Z chwilą gdy uświadamiamy sobie, jakie znaczenie ma dla nas jednolita masa chłopska, powstaje w nas troska, aby należycie uświadomić i dźwignąć na wyższy szczebel kultury i cywilizacji tę warstwę społeczeństwa, której nie pozwolono stanąć na wysokości jej zadania, która dotychczas nie rozumiała swego znaczenia.

Chłopi, do chwili obecnej, byli bierną masą, wyzyskiwaną, upośledzoną, kulturalnie i materjalnie byli parjasami narodu, skutkiem, czego ich dziejowe znaczenie było znikome. W dzisiejszym wyścigu pracy, w walce o byt, udział wziąć muszą wszyst-

kie warstwy, a zwłaszcza chłopi, ponieważ w życiu gospodarczem, co jest ściśle związane ze znaczeniem i potęgą państwa, odgrywają dominującą rolę.

Aby zapewnić chłopom stanowisko, należne im w hierarchji społecznej, należy wszelkiemi siłami dążyć do ich uświadomienia.

Od chwili zmartwychwstania Polski datuje się energiczna praca, podejmowana przez działaczy na niwie społecznej. Pierwszorzędną rolę odgrywa tu szkolnictwo niższe. W kraju ruch oświatowy ogarnął prawie wszystkie wsie, zapoznając z nowemi potrzebami życia.

Obok tego doniosłą rolę odgrywają wszelkie spółdzielnie, kooperatywy i sejmiki, które dążą do tego, aby chłop polepszył sobie byt, by tanim kosztem korzystał z nowoczesnych urządzeń i maszyn, zwiększających wydajność jego pracy, aby stał się jednostką społeczną.

Przedewszystkiem jednak należy chłopów fachowo wyszkolić. Dzięki bezpłatnym szkołom agrarnym chłopi będą mogli uzyskać nadprodukcję, którą będą zawdzięczać swojej znajomości urządzeń i maszyn rolniczych.

Postęp w tej dziedzinie uświadamiania jest jeszcze mały, ale trwa nieustannie i jeżeli obywatele zrozumieją jego konieczność, będzie on źródłem pomyślnego bytowania chłopów.

W Polsce dzięki jej charakterowi rolniczemu chłopi mogą stać się głównymi producentami Europy; skutkiem racjonalnej i światłej gospodarki potrafią oni zarobić nietylko na chleb i odzienie dla siebie, ale także na potrzeby państwa.

Nauka i to bezpłatnie należy im się ze względu na dobro państwa i długoletnią pracę ich dla Polski.

Wskutek intensywnego ruchu oświatowego chłopi nie będą apatycznie odnosili się do państwa, będą inaczej traktowali swe obowiązki, co złagodzi pewne tarcia, powstałe na tem tle.

Kiedy mechaniczny traktor zastąpi prymitywny pług, rozpocznie się dla chłopów nowa era prawdziwego rozwoju duchowego i materjalnego.

Usunięte zostaną najważniejsze bolączki społeczne.

Z chwilą podniesienia się oświaty, fachowości i uświadomienia państwowego, konsekwentnie usunie się kryzys gospodarczy i bezrobocie.

CHŁOPI, A REFORMA ROLNA.

Zaraz po powstaniu państwa polskiego, państwa wybitnie rolniczego, stało się jasnem, że stosunki dawniej panujące nadal pozostać nie mogą, że są one wadliwe, niesprawiedliwe, krzywdzące dla warstwy wieśniaczej, tak przecież licznej i bądź co bądź stanowiącej obecnie potęgę, oraz szkodliwe dla państwa. Dlatego też jedną z pierwszych prac sejmu polskiego było ułożenie i zatwierdzenie ustawy o reformie rolnej, którą następnie poczęto wprowadzać w życie. Zadaniem jej było podzielić ogromne obszary ziemskie, żywiące tylko jedną rodzinę, na wiele małych parcel, któreby dostały się w ręce bezrolnych i małorolnych. Sądzono, że w ten sposób polepszy się opłakaną dolę ludu i podniesie produkcję krajową.

Tymczasem dziś, mając już za sobą doświadczenie, możemy śmiało powiedzieć, że reforma ta zadania swego nie wypełniła, że zamiast podnieść produkcję, znacznie ją obniżyła, miast dać środki znośnej egzystencji wieśniaka, wielu zubożyła, a wielu doprowadziła do całkowitej nędzy i upadku. Jeśli się jednak to stało, to nie należy rąk opuszczać, nie należy wszystkiego zaprzestać, przeciwnie, mając już doświadczenie, powinno się starać błędy naprawiać, a nadal starać się ich uniknąć.

Zastanówmy się więc teraz, co jest przyczyną zła.

Powód jego leży bezsprzecznie w naturze chłopów, ale duża wina spoczywa także w wadliwej redakcji ustawy, która nie opierając się na żadnem doświadczeniu, nie mogła w zupełności zaspokoić wszelkich wymagań czasu.

Jedną z zasadniczych cech charakteru ludu wiejskiego jest zachłanna chciwość ziemi, ta chciwość nie pozwoli mu nawet w najkrytyczniejszej chwili wyzbyć się gruntu, każe mu cierpieć głód i nędzę, byleby tylko ani jedna piędź ziemi nie przestała do niego należeć, byleby tylko zachować jedyną rzecz, czy jedyny kapitał, który przez tyle wieków był i ciągle jest jedynym jego żywicielem, który pozwala mu i rodzinie jego egzystować, który po wiekach nadludzkich cierpień i pracy dostał się wreszcie na własność w jego ręce, został jego w ł a s n y m gruntem. Chciwość ta nakazuje mu ponadto o ziemię ubiegać się, kupować ją skąd się da i jak można najwięcej.

Ta cecha charakteru, która dotąd przyczyniała się jedynie do utrzymania stanu chłopskiego, w chwili obecnej stała się zgubną

la niego Oto chłop, widząc, że może nabyć po taniej cenie parcelowaną ziemię, wydobywa wszystkie swe oszczędności, zadłuża się, byle tylko mieć jak najwięcej morgów.

Nie wystarczają mu ani uciułane jego pieniądze, ani pożyczka, jaką może dostać w Kasach Pożyczkowych, zapożycza się przeto u lichwiarzy, i skupuje jak najwięcej ziemi.

Aby ziemia ta wydała jakiś plon, należy w nią włożyć pewien kapitał w postaci nasion, nawozu, zużycia maszyn i pracy. Pracy chłop nie żałuje, pracować intensywnie potrafi, ale najusilniejsza praca nie da nic, jeśli brak pieniędzy nie pozwala zakupić ziarna czy pługa, a pieniędzy tych już niema skąd wydobywać, zostawia więc znaczniejszą część ziemi odłogiem, traci coraz więcej, aż wreszcie należy płacić procenty, oddawać pożyczki i wtedy wieśniak, przyciśnięty koniecznością, wyzbywa się ziemi i udaje się do miasta powiększyć zastępy bezrobotnych. Dlatego też reforma rolna miast podnieść rolnictwo, powstrzymała, a nawet cofnęła jego rozwój.

Ograniczenia, jakie przewidziała ona w ilości nabywane ziemi, miały znaczenie tylko dla bogatszych chłopów, uboższych od zguby nie mogły ocalić.

Na przyszłość pozostałyby więc dwie drogi; albo ograniczyć dalsze rozsprzedawanie gruntów, albo umożliwić chłopu kupno maszyn, nasion i zwierząt pociągowych, a tem samem dać mu łmożność wyciągnięcia z ziemi wszelkich możliwych korzyści.

Pierwsza droga jest zgóry ju' skazana na nieprzyjęcie. Byoby niesprawiedliwością, aby jeszcze dziś, w czasach zupełnego równouprawnienia zmuszać do marnego wegetowania na paru morgach element najzdrowszy, najliczniejszy i do chwili obecnej najbardziej upośledzony, byłoby to zupełnem przekreśleniem jakiegokolwiek sentymentu chłopów względem Polski.

Należy więc obrać drogę drugą.

Niemałe zasługi w akcji pomocy materjalnej dla wieśniaków mają sejmiki samorządowe i zakładane przy nich Kasy Oszczędnościowe, działanie ich ma ogromne znaczenie, a twórcom ich należy się uznanie szczególnie chłopów, a także całego społeczeństwa, działanie to jednak w porównaniu do ogromu prac, jakie wykonać należy, jest małe, i brak mu jednej zasadniczej rzeczy, brak mu zrozumienia i oddźwięku u społeczeństwa. które zdobyło się jedynie na nienawiść i niechęć ku tej warstwie, i nietylko nie zaczęło jej kochać, ale nawet poznawać!

My, młode pokolenie, nie uczyniliśmy zbyt wiele w tym kierunku, nie zwróciliśmy na niego uwagi

— — — — — — — — — — — — — — —

Wiemy, że zrozumienie sprawy chłopskiej dałoby bardzo dobre wyniki, ale na to zrozumienie niema czasu czekać, nastąpi ono z biegiem czasu, a chłop ziemię powinien mieć już. W każdym razie praca nad ludem, z takim zapałem podjęta, napewno nie zginie, zginąć nie może, przeciwnie rozszerzać się będzie coraz bardziej, a dokończymy ją my.

WIZJA.

Otwieram oczy, patrzę przestraszony
I odruchowo zrywam z piersi krzyż.
Myśl ma z uwięzi ulatuje wzwyż,
A wkoło łoża mego — miljony,

Które tu przyszły na apel wzniesiony
I tłumnym głosem wołają: daj jeść i żyć,
Ty litość miej, pozwól nam nędzę zmyć,
A posiew twój będzie błogosławiony.

— — — — — — — — — — —

Odpowiem im, zebranym wkoło licznie,
Nie szarpcie mię, nie męczcie mię, nędzarze,
Zawiodę was, gdzie ból i nędza niknie.

— — — — — — — — — — —

Więc poco już miotacie się, łazarze,
Gdy otoczyłem was miłości kołem,
A klnąc swe ja, zostałem apostołem.

LUD.

Chłopak dwunastu lat
Bosy nad rzeką z batem w dłoni,
Wokoło niego ziemi szmat,
Wszystko czerwone i liljowe,
Świetliście jasno kolorowe....
Opodal stada złotych koni...
Ten wiejski słońca wschód...
Ten chłopak czegoś zamyślony...
Ten wrosły w niego brud...
Ta książka jego na kolanach...
To niebo w wodzie, całe w ranach,
Te spadające z nieba wrony —
Ten jego oczu blask,
Co w niebo patrzą tak rozumnie.
Nad głową złoty kask
Włosów, co skroń mu opromienia,
Nagiego widna moc ramienia —
To lud, co żyć poczyna w trumnie.

WSPÓŁCZESNA LEGENDA.

Powstał On, choć syn niewolnika,
I szedł na szczyt, na zmartwychwstanie,
W oczach mu zemsta paliła się dzika.
W uszach mu brzmiało wolności wołanie.
Lecz zmógł go ktoś, bo był nierozkuty,
Kajdany ręce mu otarły
I w piasku jadem legł otruty,
Choć wrogi jego były karły.
A Bóg mu wlał swą litość do serca;
I wstał, i zerwał swe kajdany;
Precz uciekł jego pan morderca,
Lecz dawne zostały tyrany!
Podał im dłoń niewolnika syn
I wszedł na szczyt, na zmartwychwstanie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Przez Niego, „ciemny" i potężny gmin,
Poszło wielkie Ojczyzny wołanie.

Pisali kol. kol. Borowski kl. VIII
Goldsand, Rojek, Siedlecki.

WYCIECZKA DO CZARNOLASU.

Jedziemy, naprawdę jedziemy! Przyciskam z rozkoszą pedały mojego roweru, śmieję się do czerwonego słońca i mknę, mknę w takt rozhukanej melodji serca, wesołego, jak sama młodość. Jedziemy na rowerach całą paką do Czarnolasu pod przewodnictwem naszego Wychowawcy. Nareszcie zobaczę miejsce, gdzie Kochanowski żył, gdzie mieszkał, gdzie pisał.

Bo ten Kochanowski to był podobno taki sam człowiek, jak i inni, tylko że wielki poeta. Poeta... Co za wspaniałe słowo! Co to właśnie jest poeta?

Zaczepiam kolegę, jadącego obok:

„Te, widziałeś kiedy poetę“?

„Widziałem — odpowiada po namyśle — miał takie rude wąsy. nosił okulary i do mojej siostry wiersze pisał. Kolacje to drań zjadał, a nie ożenił się“! Mam teraz to, czego chciałem. I to ma być poeta! Kochanowski napewno nie miał rudych wąsów, ani okularów, ani niczyich kolacyj nie zjadał... Trzask! Przerwano mi moje rozmyślania. Staszkowi nawaliła kicha. Przymusowy postój. Wyciągam z plecaka kiełbasę i z miną smakosza targam ją zębami. Lepszej sam Kochanowski nie jadł! Nie zdążyłem pochłonąć mojej najdroższej kiełbaseczki, a już jedziemy dalej. Szosa, dotąd dobra, zaczyna się psuć, coraz więcej dołów, dołeczków. Podskakujemy na rowerach, jak pajacyki, pociągane za sznurek niewidzialną ręką. Często przystajemy, bądź dla odpoczynku, bądź dla naprawy niesfornych rowerów, które psują się właśnie wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewasz. Wreszcie pod wieczór przybywamy do Zwolenia. Jakieżto miłe, cuchnące starożyd.... przepraszam, staropolskie miasteczko.

Nie wiem, co tam się działo dalej, pamiętam tylko, że dostaliśmy przytulisko w jakiejś szkole i pamiętam, z jaką rozkoszą rzuciłem się na snopek słomy, zasypiając ze spokojem człowieka, którego całe bogactwo stanowi jeden kąsek kiełbasy. Śniły mi się rude wąsy poety w okularach, Jan Kochanowski, sucha kiełbasa, Urszulka, pęknięta guma i siwe brody patrjarchów miasteczka.

Obudził mnie z rana lekki powiew wiatru, wpadającego przez otwarte okna. Wśród śmiechu i gwaru umyłem się, ubrałem, potem kupiłem gdzieś w miasteczku bułki, które zapewne

kiedyś były świeże, a wreszcie po śniadaniu zwiedzamy kościół w Zwoleniu, w niemym podziwie spoglądamy na nagrobki rodziny Kochanowskich i na nagrobek samego Jana Kochanowskiego i wkońcu wyruszamy do właściwego celu naszej wędrówki — do Czarnolasu. Po 12-u kilometrach uciążliwej drogi jesteśmy na miejscu. Opanowani pewnem wzruszeniem, kroczymy po miejscach, na których być może spoczywały oczy poety i słuchamy objaśnień naszego przewodnika. Mam wrażenie, że jestem w starodawnym kościele, w którym na każdym kroku spotykam pamiątki wielkie i drogie dla serca każdego Polaka O, wierzcie mi, że warto tłuc się po podłej szosie, warto prażyć się na słońcu, by móc doznać tego uczucia, którego myśmy doznali, by stanąć na tej ziemi, po której ongiś stąpała noga wielkiego pieśniarza, i by choć przez krótką chwilę pomarzyć o przeszłości.

Jasiek Rozgórski kl. V.

Komunikat.

Za rozwiązanie zadań z N-ru 2 „Filatery" z roku ubiegłego Redakcja drogą losowania przyznała nagrodę, w postaci powieści M. Rodziewiczówny p. t. „Jerychonka", p. Kocowskiej z gimn. im. Marji Konopnickiej.

Redaktor naczelny: **TADEUSZ ROGOWSKI VII.**

Kurator pisma: **ANDRZEJ DAŃCZAK.**

Zakłady Druk. Sejmiku Radomskiego i S-ki. 10-30.